Rozmaitości

Dnia 11. Listopada | Nr 45. | 1837 Roku.

PASZPORT.

»Prawdażto Ludwiku, mogęż ci powinszować, słyszałem, że się masz żenić?«

»Nie inaczéj... oto widzisz popakowane moje rzeczy; za godzinę odjéżdzam dyliżansem; jutro w wieczór będę w Montargis, a ztamtąd pojutrze stanę na miejscu i przedstawię się méj narzeczonéj, która mieszka o kilka mil na wsi.«

»Jestże piękną?«

»Nie widziałem jéj wprawdzie, ale mój wuj, który w tym względzie znawcą, i z grzeczności przyjął na siebie obowiązek być moim swatem, wystawił mi ją w najpowabniéjszym obrazie. Nie ma więcéj jak ośmnaście lat; ma to być zbiór wdzięków! a co większa, jest złotowłosa, bo będzie miała stotysięcy franków posagu, a na przyszłość dwa razy tyle. Zobaczysz ją mój Julijanie, ty jesteś jednym z tych rzadkich przyjaciół, dla których mój dom zawsze będzie otwarty.«

»Bardzo pięknie! Mocnom ci za to obowiązany. Ale już się zbliża chwila twego odjazdu; bądź zdrów, żegnam cię. Przyjemnéj podróży, do szczęśliwego zobaczenia!«

Ludwik Durand był młody, pięknie zbudowany, miał twarz przyjemną, a rozum chociaż niezadziwiający, jednakże przyzwoicie ukształcony i wyższy nad mierność. Był skromny, nie miał żadnéj takiéj przywary ani cnoty, któreby uderzały; dla tego żył spokojnie i nieznany na świecie. Wszelako charakter jego nie był zupełnie wolny od niejakiéj oryginalności. W dwudziestym roku zostawiony sam sobie, pan swojéj woli i swojego majątku, a przecież nigdy nie był nieprzyjacielem bezżeństwa; nie miał on ani upodobania, ani skłonności, które dla ludzi żyjących w stanie bezżennym, mają niejaką wartość; stan wolny i niepodległość nie miały dla niego żadnego powabu; unikał wrzawliwych rozrywek i nie lubił wszelkich zalet światowych. Miłość podług jego wyobrażenia była cichą, delikatną i trwałą namiętnością serca. Mając cokolwiek słaby i powolny charakter, skłonny do przyjmowania zdań cudzych i gotów usłuchać ich i niemi się kierować, zdał się być jakby stworzonym do małżeńskiego stanu; a jednak nikt dotychczas nie spostrzegł w nim tych przymiotów, któreby z niego dobrego mogły zrobić małżonka, i które były rękojmią szczęśliwego pożycia. Tym sposobem Ludwik, pomimo że miał osobiste zalety, że miał przeszło sześć tysięcy franków rocznego dochodu i wielką chęć do ożenienia się, był przecież w dwudziestym ósmym roku jeszcze zawsze nieożenionym. Niecierpliwy, udał się on nierozmyślnie najpierwéj do jednéj młodéj wdówki, która go była swoją kokieteryją zajęła; oświadczył jéj z wszelką formalnością swój zamiar ożenienia się; jednakże wdówka, nie będąc na to przygotowaną, zdziwiła się nie mało, że rzecz wzięła tak poważny obrót; ceniąc za nadto stanu wdowiego przyjemność, i nie chcąc na żaden sposób z nią się rozstawać, podziękowała więc szanownemu czcicielowi swojemu i dała mu odkosza. Wypadek ten zmieszał Ludwika do tego stopnia, że udając się do innych piękności w zamiarze żenienia się, wszędzie okazywał się nieśmiałym i niedowierzającym. Doznawszy trzykrotnie podobnego nieszczęścia, rozeszła się pogłoska o jego klęskach, a rodziny, z któremi szukał związków, miały nie mały powód do obawy. »Panny M... D... i N... odmówiły mu

swojéj ręki!« mówiono sobie po cichu: »a zatém musi w tém być jakaś tajemna przyczyna.«

Naturalna, że to było obszérnem polem do rozmaitych domysłów, najniedorzeczniéjszych wniosków, i zwykłych poszeptów, choć wszystko było bezzasadném. Tym sposobem upłynęło lat kilka, a Ludwik zniechęcony przeciwieństwem swojego losu i zwątpiwszy zupełnie o sobie, już nie dobijał się o rękę żadnéj dziewczyny.

W takiém nieszczęściu przyszedł mu ku pomocy wuj Lombard, który jako sławny kupiec, chociaż bogaty i mający ważne zatrudnienia swego domu, nie mógł się jednak oprzéć swojemu nałogowi, i, jako głowa rodziny, zamyślił sam pojechać dla Ludwika w swaty. Już od trzydziestu lat podróżował on po całéj Francyi, i tém się chełpił, że we wszystkich departamentach miał swoje miłostki, i odnosił zwycięztwo, a że był dość przystojnym, nikt mu tego kosmopolityzmu nie mógł zaprzeczyć. Jakkolwiek wielki nieprzyjaciel stanu małżeńskiego, nie śmiał jednak nigdy opiérać się skłonności Ludwika. Wolnomyślny w całém znaczeniu tego słowa, miał sobie za zasadę: niech każdy żyje według swego upodobania. A że miał myśl objechać całą Francyję, rzekł więc do swojego siostrzeńca:

»Bądź spokojnym chłopcze, ja biorę na siebie wynaleźć ci doskonałą małżonkę na prowincyi; ułatwię sam całą sprawę, a tylko przyjedziesz i dobijesz targu, to jest: ożenisz się! Możesz się w téj mierze na mnie spuścić; bo ja mam szczęśliwą rękę. Za miesiąc usłyszysz. o mnie. Bywaj zdrów.«

Wuj Lombard dotrzymał słowa; we trzy trzygodnie po odjeździe napisał do swojego siostrzeńca:

»Kochany przyjacielu! Stało się. Miło mi »uwiadomić cię, że stosownie do naszéj umo»wy, wynalazłem dla ciebie wyśmienitą mał»żonkę; jestto młoda dziewczyna, piękna jak »anioł, mająca żywe, ogniste, błękitne oczy, »złote włosy, jedynaczka; matka jéj ma piet»naście tysięcy rocznego dochodu. Małżonka »twoja otrzyma sto tysięcy franków w posagu. »Spodziéwam się, że będziesz kontent ze mnie. »Przyjeżdzaj natychmiast po odebraniu tego »listu i nie opoźniaj się z ożenieniem. Będąc »przymuszonym udać się niezwłocznie do »Marsylii i zabawić w Prowancyi przynaj»mniéj dwa miesiące, żałuję mocno, że nie będę »na twém weselu. Będę się bardzo cieszył, »gdy z powrotem zastanę was już w stanie »małżeńskim; życzę obojgu wszelkich po»myślności; a teraz bywaj mi zdrów.

»Izydor Lombard.«

P. S. »Oto masz adres do twojéj oblubie»nicy: Jéj Mość Pannie Eufrozynie Dutullois, »zostającéj przy swojéj matce w Bony pod »Montargis.

List ten sprawił Ludwikowi największą radość. Wyjechał wesół, w największéj nadziei i wróżył sobie najprzyjemniejszą przyszłość. W Fontainebleau zatrzymał się dyliżans, a konduktor pozwolił podróżnym dwadzieścia minut do obiadu. Usiedli do stołu. W pobocznym pokoju kończyli obiad podróżni innego dyliżansu, co przyjechał z Lugdunu i właśnie mieli się już zabiérać do wyjazdu, gdy nadeszli żandarmy z rozkazem, aby im pokazano paszporty. Podróżni rzucili się natychmiast do swoich pugilaresów, powyjmowali swoje paszporty i pooddawali im w ręce. Żandarmy, przeczytawszy je, stanęli w około obudwóch stołów, wzywali podróżnych po imieniu, i oddali każdemu należny paszport.

Podczas gdy Ludwik jechał gościńcem do Montargis, myślano i wspominano o nim w Bony. Eufrozyna Dutillois ze wszech miar godna była pochwały, którą wuj Lombard oddawał jéj piękności: była młodą i powabną dziewczyną, bez wszelkiéj przywary, tylko nieco upartą, jak zwykle wszystkie dzieci pieszczone, i pod tym względem byłato właśnie żona dla Ludwika. Będąc dziedziczką pietnastu tysięcy franków rocznéj intraty, była nazbyt majętną, aby w Bony miała sobie szukać małżonka; i nikt się jeszcze nie ważył dobijać o jéj rękę, wyjąwszy jednego dalekiego krewnego, nazwiskiem Pamphilius Javin, który był gap' prawdziwy. Eufrozyna odmówiła mu swojéj ręki; ale on zawsze jeszcze jéj nadskakiwał i czasami ponawiał swe oświadczenia. Wuj Lombard, przejeżdzając przez Montargis, przypomniał sobie, że zmarły jego przyjaciel zostawił po sobie żonę i córkę jedynaczkę, a przytém znaczny majątek; udał się więc do Bony, znalazł Eufrozynę przystojną, dobrze wychowaną, oświadczył zamiar swego przybycia, i był dobrze przyjęty. Pamphilius Javin zmartwił się niewymownie.

Przez wytrwałość i brak stosownych zalotników w Bony, spodziéwał się jeszcze zawsze odnieść zwycięztwo; ale ujrzawszy, że *Parys* w zawód wystąpił, stracił całkiem nadzieję. Wuj Lombard, ułatwiwszy się ze wszystkiém, co się tyczyło ożenienia jego siostrzeńca, wyjechał w dalszą podróż. Ludwik miał przyjechać do Bony na dzień następujący; pani Dutillois rozmawiała z swą córką o przyszłych jéj powinnościach i prawach, a Eufrozyna, która już od godziny siedziała w milczeniu i zadumana, przerwała nagle mowę swojéj matki i rzekła:

»Jak mnie się zdaje, pośpieszyliśmy się cokolwiek z przyjęciem pana Durand na zalecenie jego wuja.«

»Pan Lombard,» odezwała się matka, »nie jest zdolnym nas oszukiwać. Prócz tego adwokat mój zasiągnął względem wszystkiego potrzebnych wiadomości.«

Nie wątpię o jego sześciu tysiącach franków rocznego dochodu, wierzę nawet chętnie, że jest z dobrego domu, i że przeciw jego obyczajom nie można nic zarzucić. Wszystko to jest dostateczném dla ciebie, kochana mamo; wybiérając przyzwoitego małżonka dla swéj córki, jako matka wypełniłaś powinność swoję; ale dla mnie nie jest to rzeczą dostateczną; małżonek mój powinien mi się także podobać, a mnie się zdaje, żem spostrzegła, iż pan Lombard, chociaż bardzo wychwalał charakter swego siostrzeńca, zawsze jednak unikał nadmienić o jego osobie.«

Jakoż w samej rzeczy pan Lombard był bardzo wstrzemięźliwym w tym względzie, a to jedynie z powodu, ponieważ on u mężczyzn nie znał tylko jeden rodzaj piękności. Pięknym w jego mniemaniu był ten mężczyzna, który miał wzrost wysoki, szérokie plecy, czérstwą płeć i tęgie, pokrętne wąsy. Ludwik zaś nié miał wcale tych świetnych zalet, dla tego też wuj Lombard, mniemając że natura nie bardzo wyposażyła jego siostrzeńca, tylko tym sposobem w téj mierze się wyraził: »Zaręczam, że się pani nie mało podobać będzie.« Ten dwuznaczny wyraz zrobił Eufrozynę niespokojną i wzbudził w niéj wątpliwość.

»Wszak jeszcze jesteś wolną,« rzekła pani Dutillois; »jeszcze kontrakt nie podpisany. Zobaczysz jutro pana Durand, a jeżli ci się nie podoba, odprawimy go; nikt cię nie przysiłuje... ale jabym poszła o zakład, że ci się podobać będzie.«

»Otóż właśnie w tém sęk największy; mama spuszczasz się na to, że go odprawimy; jak gdyby to tak łatwo było powiedzieć komu w oczy: Wćpan się nam nie podobasz, jesteś nie ładnym, nie przyjemnym. Widzisz kochana mamo, że gdyby istotnie tak wypadło, gdybyś musiała mu to oświadczyć; jestem przekonana, iżbyś w takim była kłopocie i takbyś się zmieszała, iż ja, przez samo politowanie, jedynie, by ciebie od kłopotu uwolnić, dobrowolnie oddałabym mu moję rękę... O, ja znam siebie!... Szczęściem, jest jeszcze jeden sposób, którym sobie i jemu oszczędzimy tego zawstydzenia.«

»A jakiżto sposób?«

»Zaraz powiém: Mama każesz zaprządz konie; za trzy godziny staniemy w Montargis, zajedziemy do oberży, gdzie stawają dyliżanse z Paryża; nikt nas tam nie zna; w wieczór będziemy jadły z podróżnemi u stołu spólnego; tam zobaczę pana Durand, a jeżli mi się nie podoba, mama napiszesz do niego grzeczny list z przeproszeniem, ażeby do nas do Bony nie przyjeżdżał, tym sposobem oszczędzimy sobie przykrego oświadczenia... No, jakże się mamie ten mój plan podoba?«

Gdy pani Dutillois z swoją córką do Montargis przybyła i w domu gościnnym, gdzie zwykle dyliżanse zajeżdzają, wysiadła, była dziewiąta w nocy; już było po wieczerzy. Eufrozyna wdała się w rozmowę z oberzyścina, która na wszystkie jéj zapytania najchętniéj odpowiadała.

»Czy nié ma między podróżnymi, którzy przybyli dziś z Paryża, niejakiego nazwiskiem Durand?«

»I owszem, mościa panno; jest tu młody mężczyzna, który, ilem z jego rozmowy zrozumiała, zamyśla się w naszéj okolicy żenić. Zamiarem jego jest, udać się jutro do Bony, Tomasz, mój woźnica, ma go tam zawieźć memi końmi, za co ten jegomość pięć franków mu zapłaci. Właściwie nie powinien był zapłacić tylko trzy franki, ale kto do swojéj narzeczonéj jedzie, ten nie jest tak skrupulatnym w płaceniu. Czy panie znacie pana Durand? Czy mam go uwiadomić o ich przybyciu? On jeszcze nie spi; jeszcze się pali

świeca w jego pokoju. Ale oto właśnie nadchodzi Katarzyna z jego paszportem, który muszę mieć na pogotowiu dla zwierzchności. Teraz tylko w księgę podróżnych zapiszę jego nazwisko. Czy będą panie jeść wieczerzę?«

»Tak jest,« rzekła Eufrozyna, »postaraj się pani o wieczerzę, ale tylko czém prędzéj.«

»W minucie, moje panie.«

Oberzyścina oddaliła się i zostawiła paszport na stole. Eufrozyna chwyciła go z wielkim pospiéchem, mówiąc: »Może nie będziemy potrzebowały widzieć pa. Durand, wszakże tu mamy jego portret.«

Czyta: »Imieniem króla... Piotr Ignacy Durand... Zatém nazywa się Ignacy; co za brzydkie imię!«

»Mniejsza o to, dasz mu inne imię, jakie ci się podobać będzie;« rzekła matka.

Eufrozyna przystąpiła teraz do opisu osoby; przeczytawszy piérwsze słowo, pobladła, ręka jéj zaczęła drżéć i rzekła do matki:

»A będęż mogła dać mu i włosy inne, podług mego upodobania?«

»Jakto?«

»Ma rude włosy!«

»Rude!« zawołała pani Dutillois. »Ach! panie Lombard! panie Lombard!«

»Jeszcze nie wszystko,« rzekła daléj Eufrozyna z oziębłością; »posłuchaj mama: Czoło nizkie, brwi rude, oczy bure, nos duży, usta szérokie, broda rudo zarosła, twarz ospowata, a na domiar, znamię szczególniejsze — bródawka na nosie!«

Pani Dutillois osłupiała; Eufrozyna, jako majętna dziéwczyna, przekonana, że jéj nie zbędzie na małżonku, prędko się namyśliła.

Oberzyścina przyszła z doniesieniem, że wieczerza gotowa, dodając: »Pan Durand jeszcze nie spi, właśnie żąda pióra, papiéru i kałamarza.«

»Dajmy pokój temu panu,« odezwała się Eufrozyna, »on nas nie obchodzi, my go wcale nie znamy; ten, z którym chciałyśmy mówić, jest moim ojcem; ma lat pięćdziesiąt.«

Nazajutrz, gdy Ludwik właśnie do Bony wyjechać zamyśla, odebrał list od pani Dutillois. Przeproszenie było napisane w bardzo grzecznym sposobie: żałowano, że zaszły niespodziane przeszkody, uniewinniano się tak gładko i przyzwoicie, że nie można było nic zarzucić.

Ludwik poznał, że los przeznaczył mu być kawalerem. Uległ jego przemocy i zadumany wyruszył na powrót w drogę do Paryża. W Fontainebleau brygadyjer, przeglądający jego paszport rzekł: »Do stu katów! Jestto szczęście dla tego pana, co wczoraj o trzy mile ztąd został zatrzymanym, ponieważ miał twarz nie według paszportu... Ignacy Durand, rude włosy, ospowaty, bródawka... zupełnie ten sam, którego uwięziono.« I rozwinąwszy drugi papiér, czytał: »Ludwik Durand, włosy czarne, nos mierny, twarz okrągława... wszystko słowo w słowo się zgadza; to jest paszport wćpana. Widzisz pan, wczoraj stała się tu omyłka; było dwóch panów Durand, jeden jechał z Paryża, a drugi tamże powracał; przy wydawaniu, zamieniano paszporty. Omyłka ta ściągnęła nieprzyjemne skutki dla imiennika wćpana, aresztowano go bowiem i zaprowadzono do więzienia. Ale ten paszport całą rzecz nam wyjaśnia; spieszę więc jak najprędzéj donieść o tém zwierzchności. Wćpan masz szczęście, panie Ludwiku Durand, żeś uniknął nieprzyjemności z powodu tego paszportu.«

»W saméj rzeczy, mam wielkie szczęście,« odrzekł Ludwik.

Po odniesionéj klęsce w Montargis, został Ludwik filozofem. Widząc, że mu się nie wiedzie ożenienie, umyślił zostać kawalerem. Dziedzictwo wuja dozwoliło mu wkrótce oddać się wszelkim rozrywkom i przyjemnościom, które się bogatemu kawalerowi w Paryżu tak łatwo nastręczają.

Wuj Lombard umarł nagle w Marsylii i zostawił swojemu siostrzeńcowi majątek, wynoszący pięćkroć sto tysięcy franków; Ludwik bogaty, rzucił się w zamęt rozkoszy i uważał już małżeństwo z nowego stanowiska.

Rok był upłynął od czasu nieszczęśliwéj podróży do Montargis, gdy Ludwik razu jednego zeszedł się na balu z jedną młodą, bardzo piękną damą, która słysząc wymienione jego nazwisko, ozwała się w te słowa:

»Nie wiele brakowało, a byłabym się i ja panią Durand zwała.«

»Ach!... możeto był mój krewny.«

»Pewien pan Ignacy Durand, kapitalista z Paryża. Czy znasz go wćpan?« odrzekła dama.

»I owszém, znam go! Zrobiliśmy z sobą znajomość osobliwszym sposobem. Jadąc do pewnego miejsca przeszłego roku, zamieniano

nam paszporta i zaaresztowano go. Szczęściem dla niego, że powróciłem z Montargis, i...«

»Z Montargis!... a paszporta wćpanów były zamienione?«

»Tak jest, pani; on miał mój paszport, a ja jego: pospiech żandarma był przyczyną téj omyłki. A ponieważ jeden do drugiego wcale nie jesteśmy podobni...«

»Ach, mój Boże! co wćpan mówisz!... więc to wćpan byłeś!...«

»Jakto, ja byłem?... Cóż pani przez to chcesz powiedzieć? Proszę, chciéj mi to wytłumaczyć.«

»Wiedź wćpan o tém, iż jestem Eufrozyna z domu Dutillois. Wyjechałam była wtedy na przeciw wćpana z moją matką, dla przekonania się na własne oczy o wćpana osobie. W oberzy w Montargis przeczytałam paszport wćpana i...«

»I opisanie paszportowe odstraszyło panią; prawda, że to opisanie nie było bardzo pochlebne; a ja, który miałem sobie za szczęście, żem uniknął nieprzyjemności z téj omyłki... Co za fatalne zdarzenie! Ale pani, czy nie byłoby mi wolno teraz mieć nadzieję...«

»Teraz, mości panie, jestem już zamężną, zowią mię panią Javin; tam, naprzeciw nas, przy owym stoliku,« to mówiąc zrumieniła się, »siedzi mój małżonek.«

Pokazała Ludwikowi niezgrabnego, w kartach zagapionego mężczyznę, któremu radość z oczu patrzyła, że miał kozérę w ręku.

»Przeklęty paszport!« zawołał Ludwik.

»Przeklęty paszport!« rzekła do siebie z cicha Eufrozyna.

SPÓR O WYRAZ:

QUAMQUAM I KAMKAM.

Sławny la Ramée, znany jeszcze bardziéj pod łacińskiem nazwiskiem Ramus, był jednym z tych uczonych, których niespracowanéj gorliwości winniśmy, że średniego wieku ciemnota ustąpiła i pochodnia oświecenia Rzymu i Aten na nowo w Europie zajaśniała. Leon X., Franciszek I. i Medyceuszowie nie mało się przyczynili do obudzenia jeniuszu ludzkości; ale pomimo ich szlachetnych usiłowań, wyglądało jeszcze ze wszystkich szczelin, barbarzyństwo; język ludu był grubą mieszaniną rozmaitych narzeczy; łacinę i język grecki oszpecało tak nazwane wymawianie gockie, które nawet w uniwersytecie paryzkim na katedrach słyszano. Ramus miał smak, czuł całą śmieszność tego wymawiania, był śmiałym, by je pokonać, i silnym, by zniszczyć jego panowanie.

Wykładając przez kilka lat w kolegium *Presle* uczniom zasady filozoficzne, otrzymał za wdaniem się kardynała Lotaryńskiego posadę profesora wymowy w kolegium królewskiém. Na téj posadzie obudził się w nim nowy zapał do oczyszczenia i rozkrzewienia umiejętności. Wymawianie gockie, w którém *Qu* jak *K* brzmiało, było piérwsze, na które powstał Ramus; wtedy bowiem wymawiano *Kis* zamiast *Quis*, *Kiskis* zamiąst *Quisquis*, a *Kamkam* zamiast *Quamquam!* Ramus zwrócił na tę błędną wymowę uwagę swych słuchaczy, dowodząc im z wielką erudycyją, że nie powinni słów wykręcać, lecz należycie wymawiać wszystkie głoski. Niektorzy koledzy poszli jego przykładem i wkrótce w szkołach ani *Kumkam*, ani *Kiskis* już nie słyszano. Atoli doktorowie z Sorbony wzięli to bardzo za złe, że bez zasiągnienia ich rady tak wielka zaczęła się reforma. Zgromadzili się więc w celu rozpoznania liter *K* i *Q*, i zgodzili się wszyscy, jak się można było spodziéwać, na korzyść piérwszéj głoski. Do tego postanowienia dołączyli także uchwałę: że każden, który poźniéj wymawiać będzie *Quamquam*, popadnie w niełaskę Sarbony.

W krótkim czasie gdy ta wysoka uchwała zapadła, pewien młody ksiądz nazwiskiem Pillorge, podczas rozprawy publicznéj, ośmielił się wymówić osławione *Quamquam*. Zwolennicy wyrazu *Kamkam* donieśli natychmiast Sorbonie o tém niesłychaném bezprawiu, a czcigodni ojcowie rozgniewali się oto, tak dalece, iż ogłosili za opróżnione znaczne probostwo, które Pillorge posiadał.

Winowajca miał pomiędzy uczniami wielu znajomych i przyjaciół, ci dowiedziawszy się, że tak despotycznie z nim postąpiono, postanowili natychmiast wyruszyć w pole. Zgromadzili się więc w wielkiéj liczbie na placu *Cambray* i wywijając białą i czerwoną chorągwią udali się ku gmachowi Sorbony. Na chorągwi były ogromnémi literami napisane te słowa: »Niech żyje król! Niech żyje uniwersytet! Ale precz z wyrazem *Kamkam!*

Tymczasem przeciwnicy podobnież nie próżnowali. Słuchacze teologii uwiadomieni o zamierzonym szturmie, wyruszyli z swych celi na ulicę *Fouarre* i zatknęli chorągiew z tym napisem: »Niech żyje Sorbona! Niech ginie *Quamquam!*«

Już były obadwa wojska bardzo blizko siebie, już młodzi zapaleńcy z zaciekłością podnosili swe laski, kije i scyzoryki, gdy nagle Ramus w towarzystwie miejskiego profosa i kilku pedeli akademicznych zjawił się na bojowisku i w te do nich przemówił słowa: »Cóżto jest za postępowanie moi komilitonowie! albożto my Rzymianie, lub Bizantyni, abyśmy podobnych dopuszczali się gwałtów? Jako? dla jednego słowa, dla jednego

nikczemnego wyrazu ma być rzeź i rozlew krwie pomiędzy braćmi? Wstydźcie się! to jest hańba, sromota! Złóżcie te mordercze bronie, moi kochani, rzućcie je na bok, a uściskajcie mię, waszego przyjaciela! Zostawcie parlamentowi załatwienie tego sporu, niech parlament wyda uchwałę względem skutków, jakie ta kłótnia za sobą pociągnęła. Wysoka mądrość tego czcigodnego senatu jest dostateczną rękojmią dla uciśnionych!«

Obecność i wymowa nauczyciela zrobiły na uczniach jak *Deus ex machina* wrażenie; Ramus, który powszechnie był szanowany, uśmierzył rozpalone umysły uczniów i odwrócił scholastyczną burzę uniwersytetu.

Germain Pillorge usłuchał rady najmędrzejszych i najprzezorniejszych z swoich kolegów: apelował do parlamentu i tym sposobem wytoczył się proces formalny. Doktorowie Sorbony występowali jeden po drugim i zacięcie bronili swego wyrazu *Kumkam*, tymczasem Ramus, na czele profesorów królewskiego kolegium, wystąpił także i z równą wymową, jak logiką, zbił na nic fałszywe ich zasady. Dwóch adwokatów jeneralnych, Jan Baptista de Hurepoix i Felix Sobestyjan Dumouchel, oświadczyli się z swojéj strony na korzyść uniwersytetu i wyrazu *Quamquam*. Po trzech posiedzeniach wyszło od parlamentu *ultimatum*, w skutek którego młody ksiądz otrzymał na powrót swe probostwo, a roztrzygnienie wymawiania wyrazu *Kamkam* i *Quamquam* zostawiono nauczycielom gramatyki. Ale i tym wyrokiem nie skończyła się bynajmniéj kłótnia. Zawzięta Sorbona, która już z innych miar rozkazom parlamentu nie chciała być posłuszną, knuła ustawicznie na uniwersytet i na Ramusa spiski, i rzucała nań potwarz, jako na niebezpiecznego nowatora. Ztąd pochodziły owe nieustanne, zacięte kłótnie między uczniami uniwersytetu, a młodymi teologami; ztąd owe krwawe bitki na przechadzkach. Kłótnia ta była prawie drugiém wydaniem sławnego kolegium w Antyochii, gdzie dla jednéj głoski, na ulicach się zabijano.

Ramus i dobry smak odnieśli nakoniec zwycięztwo; ale w kilka lat poźniéj, ten wielki mąż, w nocy S. Bartłomieja, legł trupem pod sztyletami skrytobójców Katarzyny de Medicis. Ciało jego wyrzucono przez okno na ulicę, a młodzi teologowie, zapaleni fanatyzmem, włóczyli je z rozkoszą po ulicach i kaleczyli w najszkaradniejszym sposobie. Tak okropne były skutki sporu o wyraz *Kamkam* i *Quamquam*!!

(Gaz. des Trubun.)

UCZTA DELILLA.

Prawie na rok przed swoją śmiercią chciał stary, ociemniały francuzki poeta Delille jeszcze raz jeść obiad na bulwarze *du Temple* w Paryżu, w sławnym gościnnym domu pod *Niebieskim cyferblatem*, gdzie niegdy z ukontentowaniem przebywał śród ludu. Nalegał więc na swoję żonę, by go też choć raz jeszcze zaprowadziła do téj oberzy, gdzieby mógł z rozkoszą, choć nie przypatrzyć się, to przynajmniéj przysłuchać się wesołemu ludowi francuzkiemu. Pani Delille skłoniła się do jego życzeń; wszelako obawiała się, aby hałas, ciżba, daleka droga i t. d. nie zaszkodziły słabemu staruszkowi. Przemyśliwała więc, jakimby sposobem można mu sprawić to dziecinną uciechę, a nie narazić na przypadek jego słabowitego zdrowia. Umówiła się w tym celu z przyjaciołmi Delilla, aby jeden z nich, prowadząc starego poetę niby do oberzy pod *cyferblatem*, zaprowadził go natomiast do siebie, i aby każdy z nich dla omamienia staruszka, udawał rozmaite osoby, tak, iżby mniemał, że się istotnie znajduje w gościnnym domu. Tak się stało w saméj rzeczy. Dom teatralnego poety Piccarda obrano miejscem téj zabawy. Zaproszono mnóstwo gości obojéj płci i porozstawiano stoliki i stoły w wielkiéj sali. Pomiędzy tymi gośćmi byli celniejsi aktorowie z teatru francuzkiego, tudzież niektórzy wielcy artyści i autorowie. W dniu przeznaczonym, pani Delille z swoim mężem udała się w drogę do mniemanéj restauratorni i weszła z nim do sali, gdzie ją najświetniéjsze czekało towarzystwo. Delille, będąc ciemnym i nie słysząc tylko pomieszany zgiełk głosów rozmaitych, okazał żonie radość, że się znajduje śród tak wielkiego mnóstwa gości, prosząc ją oraz, aby w kącie sali obrała jakowe miejsce, gdzieby spokojnie przy stoliku rozmowie przysłuchiwać się mogli. Żądał od mniemanego posługacza (jak gdyby istotnie znajdował się w oberzy), aby mu dał jego ulubione potrawy; jadł obiad bardzo smaczno i bawił się serdecznie rozmaitemi rozmowami, które w około niego przy stołach się toczyły. Przy jednym rozprawiano széroko o interesach handlowych; przy drugim trzy młode niewiasty, które Delille miał za przekupki, mełły językiem jak na kołowrocie, wygadywały na wszystkich swych sąsiadów i nie szczędziły nawet swoich znajomych. Lecz przy innym stole była nierównie powabniejsza dla Delilla rozmowa. Kilku mężczyzn bardzo uczonych spiérało się o piérwszeństwo niektórych dzieł Delilla. Jeden wynosił nad wszystkie inne jego poemat: *L'homme des champs* (Ziemiaństwo), drugi *Imagination* (Wyobraźność), trzeci *Pitie* (Litość), a czwarty, jego przekład *Eneidy* Wirgilego. Każdy dawał swoje powody; tym sposobem wszczęła się uczona walka, która Delilla bawiła niewymownie. Nareszcie jeden z uczonych powstał z krzesła i podniosłszy do góry szklankę, rzekł: »Niech sobie będzie które chce najlepsze

jego dzieło; dosyć na tém, że Delille jest jednym z największych poetów naszych. Wypijmy za jego zdrowie, tak, jak gdyby tu był między nami przytomnym.« — »Niech żyje nasz wielki poeta Delille!« zawołali wszyscy uderzając o szklanki. Starzec nie mógł już więcéj wstrzymać wzruszenia swego. »Ach, gdyby mnie tylko nie poznano!« rzekł po cicho do swojéj żony i prosił ją, aby nieznacznie z nim wysunęła się z sali. Poczém zawołał mniemanego posługacza, wetknął mu pieniądz w rękę i rzekł, że chce za obiad swój zapłacić; atoli natychmiast przybliżyła się także mniemana gospodyni z oświadczeniem, że się nic nie należy. Zaszczyt, że mogła przyjąć w swoim domu Delilla, jest już dostateczną dla niéj nagrodą. Delille dał się namówić, zwłaszcza, że mu jego żona to doradzała. Żona zaproponowała mu także, czyby nie chciał w tureckim ogrodzie na bulwarze napić się kawy. Starzec dał się chętnie nakłonić; zaprowadzono go do ogrodu, będącego tuż koło domu, i w tém miejscu słysząc pomieszane głosy, mniemał znowu, że się pośród ludu znajduje. Nowy posługacz zapytał go, czegoby sobie życzył, wymienił mu rozmaite przysmaki, a między innemi także *crême à la Jacques Delille.* »Jako?« zawołał zdziwiony starzec, »*crême à la Jacques Delille?* cóżto jest takiego?« — »O!« odpowiedział człowiek grający rolę posługacza, »jestto bardzo smaczny *crême*, mający swe nazwisko od sławnego poety Delilla. Już samo to nazwisko sprawia, że wielki na ten *crême* mamy odbyt.« Nim jeszcze skończył mówić, dały się słyszeć słodkie głosy śpiewające aryję o *Jakóbie le majeur*, którym powabny brzęk arfy towarzyszył. To imię rodzinne zdziwiło na nowo poczciwego staruszka; słyszał w najpochlebniéjszym sposobie przedstawione swoje świetne życie jako poety. Wzruszony do żywego nie mógł się od łez wstrzymać, jednak domyślił się, że to naprzód dla niego przyrządzono. Nareszcie wyjawiono mu całą tajemnicę i powiedziano, że nie w publicznym ogrodzie ale w ogrodzie swego przyjaciela Piccarda, pośród swoich znajomych się znajduje, i z nimi razem jadł obiad. »Ach mój Boże!« rzekł rozrzewniony poeta, »tyle ludzi dla zabawienia starego, biednego człowieka; czémże im się za to odwdzięczę?« Delille był bardzo uradowany i dopiéro gdy nadszedł wieczór, podziękowawszy serdecznie za sprawioną mu uciechę, rozłączył się z swoimi przyjaciołmi.

Przekonani, że każdy ukształcony człowiek tę niewinną scenę z uczuciem czytać będzie, mieliśmy sobie za powinność udzielić jéj czytelnikom naszym, abyśmy przez to, acz mały kwiatek spomnienia, kinęli na grób poety.

— Ze Lwowa. —

Otrzymujemy tę przyjemną dla literatury naszéj wiadomość, że wkrótce wyjdzie z pod prasy, w drukarni Pichlera w Wiédniu: *Komedyj Alexandra hrabi Fredra* tom piąty, obejmujący trzy komedyje: 1) *Ciotunia;* 2) *Dożywocie;* 3) *Zemsta,* wszystkie trzy wielokrotnie grywane na scenie naszéj i zawsze, jak wszystkie sztuki autora, z największém widziane upodobaniem. — Dawno już wyczerpany w handlu księgarskim tom piérwszy i i drugi *Komedyj* tegoż pisarza, wyjdzie w powtórném i poprawném wydaniu, również z powyższéj drukarni wiedeńskiéj. O ile pożądaném dla nas będzie to powtórzenie ulubionych płodów, z równą powitamy radością owe niedrukowane dotąd *Komedyje* szanownego autora, którémi naszę w wewnętrzną wartość tak ubogą Taliję zbogacać nie przestaje. Im więcéj zapatrując się w tym czasie na ogólny nawet europejski stan téj gałęzi literatury, o jéj ubóstwie i wysileniu przekonywamy się, tym więcéj jenialnym, tak oryginalnym w pomysłach i charakterach autorem naszym, powinniśmy się chlubić i cieszyć. — W Lipsku nakładem i drukiem Breitkopfa i Härtla wyszły: *Trajedyje Jana Maxymiliana hrabiego Fredra.* Wydanie J. N. Bobrowicza z rękopisów autora (r. 1837 str. 258, wiel. 8., wydanie ozdobne). Zawiera trajedyje: 1) *Dydona;* 2) *Harald;* 3) *Wanda.* Wszystkie trzy w pięciu aktów i wierszem, z tych druga *(Harald)* grywaną była i widzianą z upodobaniem na naszéj i na innych polskich scenach. — Nie tylko więc w tym czasie dwóch członków téj dostojnéj rodziny pracuje tak szczęśliwie około niwy literatury naszéj, lecz i w dawniejszych wiekach wydawała ona słynnych naukami mężów, z których w tém miejscu przytaczamy tylko Jędrzeja Maxymiliana Fredra, kasztelana lwowskiego, żyjącego w 17stem stoleciu, sławnego autora *Przysłowiów* i innych z treści i języka cenionych pism oryginalnych.

Juliusz Janin. (Wyjmek z fr. Gaz. Literackiéj.) W dziełach Juliusza Janin brzęczy rój słów około jednéj myśli; jestto długa waryjacyja na jedno tema; brylantowanych, nadętych, podskakujących frazezów powódź, w któréj mizerna, drobniutka myśl tonie; pan Juliusz Janin jest jednym z najzdatniejszych między zdatnymi, którzy najmniejszą kroplę wody w pianę rozbić umieją; którzy maciutkiéj żabie, tak się nadąć dają, że jak karmiony wół zgrubieje; którzy ducha w milijonowe cząstki homeopatycznie rozłożyć, z niczego coś, a z kilku małych myśli wiele dużych tomów napompować mogą. Juliusz Janin jest dzieckiem, któremu talerz z mydłem, z wodą i z dźbłem, w rękę dano. Dziecko dmie a dmie, woda się pieni, bąble powstają: ono dmie bez ustanku, i zdaje się, że dobór drogich, świetnych kamieni widzimy; ono dmie znowu, a krocie barw tęczy igra na dziecięcém bawidełku. Chcemyż w świat puścić to bawidełko, ileż się dzieci nie drze o nie! Każde chce je miéć, każde je chwali i pod niebiosa wynosi, a potém, a potém — ubawiwszy się czas niejaki, dziwi się, iż mu ulotne mamidło zniknęło i nic mu w ręku nie pozostawiło — prócz jednéj brudnéj kropelki wody. Postawmyż teraz w miejsce wody z mydłem, atrament, w miejsce dźbła pióro, i cóż miéć będziem? oto zamiast kropli brudnéj wody, tom druku, ale nie tom myśli; tom, któregoby przed dziesięcią laty nikt nie czytał, i którego po dziesięciu latach nikt czytać nie będzie, ale tom ten jednakże sprzedaje się szczęśliwie, robi wrażenie; dla czego? dla tego, że go Juliusz Janin napisał, że Juliusz Janin jest jednym z koryfeów pism peryjodycznych; a że pisma peryjodyczne szeroką gębą mówią: że jego dzieła są arcydzieła, więc się publiczność niemyśląca, tą myślą zwodzić daje; a że ciarlataneryja im bezczelniejsza, tem większy poczet ma zwolenników, a zatem, gdzie jest większa ciarlataneryja, tam i większa korzyść!

Amerykanki. Francis Grund wyraża się o płci pięknej w Ameryce w sposób następujący: »Młode Amerykanki mają zwykle delikatną i smukłą kibić bardzo okrągłéj symetrycznéj postaci. Cera ich twarzy, która w południowych okolicach zbliża się do hiszpańskiéj, w okolicach północnych jest jeszcze bielsza i świeższa, niż u kobiét angielskich, a za młodu po większéj części są ładne. Szczególniejszy wyraz rozumu i teskliwa smętność jakaś, którą opisać trudno, dają ich twarzy wdzięk właściwy, porównania nie mający. Ale te wdzięki bardzo rychło umierają. W dwudziestu czterech latach zaczyna znikać piękna symetryczność ciała, a gdy upłynie rok trzydziesty, już się pojawiają ślady zburzenia. Powiadają zwykle, iż przyczyną tego rychłego odkwitnienia jest strefa, ale ja mniemam, iż do tego najwięcej przykłada się sumienność, z jaką niewiasty amerykańskie jako matki swe powinności wypełniają. Amerykanka gdy pójdzie za mąż, natychmiast usuwa się od zgiełkliwego życia, a gdy zostanie matką, wtedy obumiéra dla reszty świata. Występuje ona wprawdzie jeszcze raz jak szanowna matrona, wprowadzając w towarzystwa swe dzieci, ale już tylko jako milczący świadek tryumfu swoich córek. Amerykanka zostawszy matką jest mamką, nauczycielką i przyjaciółką swoich dzieci. Na niéj cięży prawie cała powinność wychowania. Znajdziesz tam zamężne kobiéty zajmujące się szczérze matematyką i starożytnémi językami, jedynie w celu ukształcenia swych dzieci; znałem nawet młodzieńców, których przyjęto do uniwersytetu, chociaż innych nauk przygotowawczych nie mieli, prócz nauki, którą odebrali od swojéj matki. Przez to zbyteczne natężenie osłabiają delikatne swe zdrowie, i poświęcają istotnie młodość i piękność swoim dzieciom. Nié masz istoty w świecie, któraby była w stanie wywdzięczyć się za staranne, pieszczotne wychowanie matce, ale Amerykanie mają w tym względzie jeszcze większe obowiązki, niżeli mieszkańcy innych krajów. Ponieważ Amerykanki zajmują się szczérze umiejętnościami, mało więc znajdziesz w rozmowie przedmiotów, któreby amerykańską damę zagadnąć lub zmieszać mogły, a tém mniej celniejszych autorów angielskich, z któremiby nawet kobiety i córki znaczniejszych rzemieślników obeznane nie były. Europejczykowie dawali nie raz o damach amerykańskich swoje zdanie, że są wprawdzie po większéj części ładne i grzeczne, ale w ogólności mają mało imaginacyi i w zewnętrznéj swéj spokojności podobne są więcéj do posągów, niżli do istot żywych. Prawda, że po większéj części u niewiast amerykańskich znajdziesz spokojne panowanie nad czuciem i namiętnościami, które się im od niewieściéj godności i gracyi nierozdzielném być zdaje, ale ztąd nie wypływa bynajmniéj, że im na imaginacyi i czuciu zbywa. Oczy ich nie mają wprawdzie tego wyrazu, który Włoszki albo Hiszpanki miłością nazywają, ale też wzamiast więcéj promieni się w nich rozum i dobroć, a wielka ilość Europejczyków, żeniących się corocznie w Stanach Zjednoczonych, jest dowodem, że Amerykanki zdolnémi są obudzić miłość i trwałą przyjaźń. Co do obyczajowości i cnoty niewiast amerykańskich dosyć będzie powiedzieć, że nie ustępują Angielkom, które w Europie mają powszechnie za najlepsze małżonki i matki dzieciom. Najmniejsze podejrzenie o cnocie niewiasty dostateczném jest w Ameryce, równie jak w Anglii, do wyłączenia jej z towarzystwa, ale publiczne zdanie w Ameryce jest także i dla mężczyzn surowe i toć jest najcelniejszą zaletą cywilizacyi amerykańskiéj. Dla tego nié masz kraju, gdzieby szkoły obmowy, nawet w wyższych stanach, były tak rzadkie, jak w Stanach Zjedn., a to słowo: *intryga*, nie jest znaném i rozumianém prawie. Przypominam sobie, że jednemu młodemu Francuzowi w Ameryce dla tego nie podobało się towarzystwo, że tam ani na myśl nie przyjdzie nikomu zawiérać potajemne związki. »Tu,« rzekł Francuz, »jest prawdziwy raj dla małżonków.«

Do historyi naturalnéj. Na posiedzeniu akademii umiejętności w Paryżu dnia 11. września czytał p. Brongniart uwagi nad naturą roślin, które ziemię w różnych okresach swéj formacyi okrywały. P. Brongniart założył sobie za pomocą ułamków roślinnych, które na głębokich warstach krusty ziemskiéj swój odcisk zostawiły, wystawić nową Florę przedpotopową. Najprzód czynił ogólne uwagi nad roślinami świata przedpotopowego, nad paprociami, których podtenczas przeszło 200 było rodzajów, a teraz tylko 30 się zostało, nad drzewami, które po większéj części były palmy, bambusy, i nad wielkiemi płazami, śród pustyń, które dopiéro poźniéj przez ludzi i przez zwiérzęta ssące zamieszkanémi zostały. Poczém przeszedł do początku węgli roślinnych i zakończył malowniczém opisaniem piérwotnych lasów, jakie w krajach gorącéj strefy dotychczas znajdujemy.

Nowe rozporządzenie sułtana. W gazecie francuzkiéj, wychodzącéj w Konstantynopolu, czytamy rozporządzenie: »Zważywszy, iż podług doniesienia *Akima Boschi*, zwyczaj leżenia przez cały dzień w gnuśnéj bezczynności na otomanach, zamiast przechadzania się w świeżém powietrzu, przynosi zdrowiu uszczérbek znaczny, z czego także i to wynika, że Frankowie fizycznie daleko mocniéj są zbudowani, niźli Turcy, rozkazujemy więc, aby na przyszłość krzesła i sofy w pomieszkaniach się znajdowały, któreto ostatnie jedynie do nocnego spoczynku używane być mają.«

Zbytek i moda. Kupcy handlujący galanteryjami w Paryżu, wprowadzili obecnie w modę gatunek złotych tabakierek, które tak są maleńkie, że w nich tylko dwa paluszki kobiece zmieścić się mogą. Takowe tabakiereczki, mające osobliwszą nazwę: *Prises de tabac*, widzieć można w włoskim teatrze w Paryżu, w ręku każdéj damy, należącej do wykwintnego świata.

Zégarek miłości. Mechanika robi codzień nowe postępy; sztuka zégarmistrzowska wydaje rzeczy coraz bardziej zadziwiające; zégarmistrze zajmują się nie tylko umiejętnościami i literaturą, ale nawet poświęcają swe dzieła miłości i stałości. Pewien młody znakomity cudzoziemiec, mając wyjeżdżać z Paryża, zmuszony był zostawić kochankę ubóstwioną. Nie wiedzieć jakim sposobem zagnieździły się w jego umyśle zazdrość i podejrzenie; obawiał się, aby dama pod niebytność jego nie zapomniała swéj przysięgi. Dręczony tą niespokojnością udał się do sławnego Bregueta: »Mości panie,« rzekł, »czy nie zrobiłbyś wćpan zégarek, któryby mój portret w sobie zamykał?« — »Dla czegoż nie, i owszem.« — »Ale ja chciałbym także za moim powrotem wiedzieć, ile razy była otwieraną koperta; chciałbym wiedzieć, jak długo każdą razą była otwartą, jak długo osoba, dla któréj zégarek jest przeznaczony, przypatrywała się mojemu portretowi.« Breguet podjął się tego wszystkiego, zrobił zégarek, a trwożliwy kochanek, zostawszy zadowolonym, oddał go w upominku swéj ulubionéj i wyjechał. Powróciwszy z podróży nie zaniedbał najpiérwéj zapytać się zégarka, i pokazało się, że podarunek codzień tylko raz jeden, a co nocy dwadzieścia i pięć razy był otwieranym. Niezmiernie uradowany tém odkryciem, zaślubił się natychmiast z swą ulubioną. We cztéry tygodnie po weselu wyjechał znowu, zabawił dwanaście dni w podróży, powróciwszy do domu zapytał znowu zégarka, i pokazało się, że ani razu nie był otworzonym!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*